Rok XXIV. We Lwowie, dnia 16. listopada 1917. Nr. 46

Gazeta Kościelna

Przedpłata: roczna . . . 15— K.
półroczna . 7— „
kwartalna . 3 50 „
Rękopisów, przyjętych do druku, Redakcya nie zwraca.

PISMO POŚWIECONE SPRAWOM KOŚCIELNYM I SPOŁECZNYM.
ORGAN TOWARZYSTWA WZAJEMNEJ POMOCY KAPŁANÓW.
Wychodzi każdego piątku.

Redakcya, Administracya i Ekspedycya: X. Dr. A. Peebnik, Sykstuska 64.
Inseraty przyjmuje się za opłatą 30 hal. od wiersza petitu.
Reklamacye otwarte wolne są od opłaty pocztowej.

Kto ma racyę?

Jesteśmy świadkami namiętnych sporów politycznych w naszym kraju między t. zw. partyą konserwatywną a innemi stronnictwami o metody i środki, zmierzające do urzeczywistnienia naszych ideałów narodowych. Kto ma racyę?

Trudno w rzeczach polityki narzucać innym swe przekonania w sposób apodyktyczny. To też duchowieństwo polskie nie myśli w tej sprawie żądać dla siebie bezwzględnego posłuchu, ani występować w roli rozjemcy, trzymając się starej zasady arcychrześcijańskiej: „In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus charitas!“.

Nawet Skarga nasz Złotousty, gdy z bystrością proroka i jasnowidza roztaczał przed oczyma przodków naszych przyszłe, straszne losy Polski i nawoływał do poprawy obyczajów, zastrzegał się pokornie: „Jać osobnego objawienia nie mam“! (Kazanie sejmowe ósme).

I my też maluczcy jego następcy, przemawiając do społeczeństwa polskiego w sprawach politycznych, nie możemy rozstrzygać bezwzględnie, kto ma dziś racyę. Na nikogo też kamieniem potępienia rzucać nie chcemy.

Ale właśnie chcielibyśmy, aby to samo stanowisko zajęły partye polityczne, tak namiętnie dziś się u nas zwalczające, zwłaszcza partya t. z. konserwatywna.

Nie chcemy jej odmawiać miłości ojczyzny, nie chcemy jej bynajmniej posądzać, że szuka swych celów, że się kieruje prywatą. Ale metody jej walki, ale ton i sposób, jakiego używa wobec innych stronnictw, wydają się nam niewłaściwymi. W obronie swych środków służenia sprawie narodowej występuje ta partya zbyt namiętnie, zbyt bezwzględnie, tak jakby miała „objawienie“, że tylko tą drogą, jaką ona wskazuje i idzie — można ojczyznę wskrzesić. Czy słusznie?

Doświadczenie kilku ostatnich lat wojennych uczy nas wyraźnie, że sprawa wskrzeszenia Polski nie jest tak prostą, jak się „konserwatystom“ wydaje. Ani legiony same, ani państwa centralne same, ani partya konserwatywna sama, tego cudu uczynić nie potrafią. Przecie państwa centralne, proklamując wskrzeszenie Polski, ogłaszają same, że dopóki wojna trwa, nie mogą jej ani samodzielności przyznać, ani granic nakreślić, czyli, że wskrzeszenie Polski potrzebuje współdziałania jeszcze innych państw, które będą brać udział w kongresie pokojowym.

Trzeba przyjmować od państw centralnych z wdzięcznością to, co one nam dają, a raczej zwracają, boć przecie to wszystko było niegdyś nasze, ale nie trzeba znów piętnować mianem zdrajców i rozmaitych... filów tych wszystkich, co nie wpadają natychmiast w zachwyt i uwielbienia, gdy błyśnie jaki promyczek naszej wolności i niepodległości, lecz żądają i oczekują więcej.

A to się praktykuje nie rzadko na łamach prasy „konserwatywnej“ ku ogólnemu zgorszeniu (vide „Czas“ krakowski).

Najniefortunniejszy jest też podział społeczeństwa polskiego dzisiaj na jakichś „aktywistów“ i „passywistów“.

Jeżeli weźmiemy passywizm w znaczeniu etymologicznem jako pochodzący od patior = cierpię, to passywistami jesteśmy dziś wszyscy w pełnej mierze. Ale jeżeli passywizm bierzemy jako synonim bierności, apatyi, obojętności wobec sprawy narodowej i przyszłości Polski, to pasywistów u nas niema, albo jest ich bardzo mało.

Wszyscy Polacy, wszystkie Polki do najprostszego robotnika, którzy w czasie tej straszliwej wojny stoją wytrwale na stanowisku swojem i spełniają swe powszednie obowiązki, aby szczepić wiarę chrześcijańską, szerzyć zdrową oświatę, utrzymać ład i porządek społeczny, uprawić ziemię, wyżywić siebie i drugich mimo

tak olbrzymich przeszkód — wszyscy tacy są aktywistami, są budownikami Polski, a nazywanie ich biernymi, obojętnymi, apatycznymi, ubliża im w wysokim stopniu, jest dla nich obelgą! Dziś los niejednego żołnierza jest znośniejszy od losu tych, co w domu zostali.

Wreszcie ta metoda bezwzględności wobec politycznych przeciwników, metoda wyzwisk, insynuacyi, posądzań i podejrzeń nieustannych wywołuje u stronnictw przeciwnych rozdrażnienie niesłychane, nieufność i nienawiść, a to wcale ze stanowiska narodowego i społecznego pożądanem nie jest bez względu na ostateczny wynik wojny. Z takiego posiewu nic dobrego nie zejdzie.

Budujmy zatem Polskę, ale bez żółci i goryczy, bez roznamiętniania i odpychania drugich, pamiętając, że ostateczne losy narodów zależą od Tego, o którym napisano: Nisi Dominus aedificaverit domum, in vanum laboraverunt, qui aedificant eam (Ps. 126. 1).

X. M. J.

Przepisy św. Kongregacyi Konsystoryalnej

dotyczące urzędu kaznodziejskiego.

Encyklika Ojca św. Benedykta XV. o głoszeniu słowa Bożego skłoniła Kongregacyę Kons. do wydania przepisów, normujących wybór i kształcenie kaznodziejów:

Sam tylko biskup Ordynaryusz ma prawo powierzać urząd kaznodziejski kapłanom, którzy mają go zastępować w nauczaniu wiernych i nikomu nie wolno głosić kazań bez jego zezwolenia.

Proboszczowie otrzymują ten urząd razem z duszpasterskim, równie jak licencyę słuchania spowiedzi, pod warunkami, które Ordynaryusz uzna za potrzebne. Podobnie kanonik teolog ma prawo wykładać Pismo święte. Wszyscy inni kapłani, świeccy i zakonni, potrzebują zezwolenia Ordynaryusza do głoszenia kazań nie tylko w kościołach, ale także w oratoryach zakonnych.

O to zezwolenie mają prosić według norm, przepisanych w nowym Kodeksie (can. 1341, §. 1 i 2):

a) pierwszy dygnitarz kapituły, ale po zasięgnięciu jej zdania dla kazań, które mają być głoszone w jej kościele własnym;

b) superyor zakonny dla kościołów zakonnych;

c) proboszcz dla kościoła parafialnego i kościołów od tegoż zależnych;

d) proboszcz kościoła, będącego własnością kapituły albo zakonu, dla kazań, które zależą od niego samego;

e) kapłan, stojący na czele zarządu lub kapelan jakiegokolwiek bractwa dla kościoła własnego;

f) kapłan, zarządzający kościołem i spełniający w nim prawnie funkcye, dla wszystkich kościołów, należących do korporacyi świeckich lub zakonnych.

Ktobykolwiek, nie postarawszy się o pozwolenie na to, zaprosił jakiegoś kapłana z kazaniem, a również i kapłan, któryby świadomie przyjął zaproszenie i wygłosił kazanie, mają być ukarani przez Ordynaryusza według jego uznania, — nie wykluczając suspenzy a divinis.

Kaznodziejom, nie należącym do dyecezyi, ma być udzielana licencya na głoszenie kazań pisemnie, z oznaczeniem miejsca i rodzaju kazań, dla których jej udzielono.

Ordynaryusze nie powinni nikomu dawać takiej licencyi, dopóki nie upewnią się co do jego pobożności, wiedzy i uzdolnienia; — jeżeli zaś chodzi o kapłanów, nie należących do dyecezyi, albo o członków któregokolwiek Zakonu, dopóki nie zapytają o zdanie Ordynaryusza lub superyora i nie otrzymają odpowiedzi pomyślnej.

Dla przekonania się o uzdolnieniu kandydatów do urzędu kaznodziejskiego, mają Ordynaryusze poddawać ich egzaminowi ustnemu i pisemnemu przed trzema egzaminatorami, których mogą wybrać według swego uznania także z pośród kapłanów, nie należących do dyecezyi lub zakonników. Oprócz tego jednak ma Ordynaryusz badać z równą, a nawet większą jeszcze starannością, czy pobożność, życie nienaganne i szacunek publiczny czynią kandydata godnym, żeby mu powierzono urząd głoszenia słowa Bożego.

Stosownie do wyniku tego podwójnego egzaminu, będzie mógł Ordynaryusz albo ogólnie uznać kandydata za uzdolnionego, albo tylko do pewnego rodzaju kazań, do czasu lub na próbę i pod pewnymi warunkami i wyda mu na to odpowiednie świadectwo („pagellam praedicationis"), albo mu po prostu odmówi pozwolenia.

Nie zabrania się jednak Ordynaryuszom w wypadkach poszczególnych i wyjątkowo udzielać kapłanom licencyi na głoszenie kazań bez poprzedniego egzaminu, jeżeli przekonali się o ich uzdolnieniu na podstawie całkiem pewnych argumentów.

Treścią kazań mają być przedmioty w istocie swojej święte (Cod. can. 1347). Jeżeli zaś kaznodzieja będzie chciał mówić o innych rzeczach, nie należących ściśle do religii, ale zawsze odpowiednich dla domu Bożego, ma prosić o pozwolenie na to i otrzymać je od Ordynaryusza, który rzecz powinien dokładnie rozważyć i przekonać się o jej konieczności. Bezwzględnie jednak ma być zabronione kaznodziejom poruszanie w kościołach spraw politycznych.

Wygłaszanie mów żałobnych ma być zakazane wszystkim bez poprzedniego i wyraźnego zezwolenia Ordynaryusza, który będzie mógł wymagać, zanim go udzieli, przedłożenia sobie rękopisu.

Kaznodzieja powinien przedewszystkiem studyować Pismo św., dzieła Ojców i Doktorów Kościoła. Zdania zaś autorów świeckich wolno przytaczać tylko z największą oględnością, a tem bardziej powiedzenia heretyków, apostatów i niewierzących: nigdy zaś nie należy powoływać się na powagę osób żyjących. Wiara i moralność chrześcijańska nie potrzebują takich obrońców.

Kaznodzieja nie powinien starać się o poklask słuchaczy, ale mieć na oku wyłącznie zbawienie dusz.

Zwyczaj, który gdzieniegdzie wprowadzono, posługiwania się dziennikami lub kartkami drukowa-

nemi dla przynęcenia słuchaczy przed kazaniem, a wychwalania kaznodziei po kazaniu, zasługuje stanowczo na potępienie, chociażby go usprawiedliwiano dobrą intencyą. Ordynaryusze powinni według możności zapobiegać rozpowszechnieniu się tego zwyczaju.

Sposób nauczania i wysłowienie kaznodziei powinny być zastosowane do pojęcia słuchaczy, gestykulacya zaś i wygłoszenie skromne i poważne, jak przystało temu, który sprawuje poselstwo za Chrystusa. Nie powinien także szukać zysku ani próżnej chwały. Całe zaś jego życie powinno być zgodne z tem, czego naucza.

Kaznodziejom, którzyby nie stosowali się do przepisów przytoczonych, ma biskup udzielić upomnienia i nagany, jeżeli nie dopuścili się ciężkiego wykroczenia i dają nadzieję poprawy. Gdyby zaś nie chcieli się poprawić albo ciężko zgrzeszyli ku zgorszeniu wiernych, powinien biskup według postanowień Kodeksu (can. 1340, §§. 2 i 3):

a) jeżeli chodzi o kapłana mu podwładnego lub zakonnika, któremu sam udzielił pozwolenia na głoszenie kazań, odwołać to pozwolenie, bez względu na osobę, albo na pewien przeciąg czasu, albo zupełnie;

b) jeżeli zaś chodzi o kapłana, nie należącego do dyecezyi, lub o zakonnika, któremu nie dał sam pozwolenia, ma zabronić mu głoszenia kazań w swojej dyecezyi, a zarazem uwiadomić o tem zarówno jego Ordynaryusza, jak i tego, który mu dał pozwolenie; w wypadkach zaś cięższych niech nie omieszka odnieść się do Stolicy św.

Należy także zabronić głoszenia kazań, przynajmniej na pewien czas i w pewnej miejscowości, tym, którzy wskutek swego sposobu życia, lub z jakiejkolwiek innej przyczyny, stracili, chociażby bez własnej winy, cześć publiczną tak, iż praca ich stała się niepożyteczną albo i szkodliwą.

W każdej dyecezyi ma być powołana przez Ordynaryusza „commissio vigilantiae pro praedicatione".

Ordynaryusze mają starać się o to, żeby kandydaci do stanu duchownego zapoznali się z różnymi rodzajami kazań i nauczyli dobrej pronuncyacyi i gestykulacyi, a przełożeni seminaryów mają badać, jaki rodzaj kazań odpowiada więcej każdemu z alumnów, żeby później podać to do wiadomości Ordynaryusza, którego rzeczą będzie dbać o dalsze wykształcenie kapłanów nowowyświęconych w kaznodziejstwie. W tym celu ma on, stosownie do otrzymanych o każdym informacyi, polecać im najpierw wygłaszanie nauk łatwiejszych, jak wykład katechizmu dla dzieci, krótkie wyjaśnianie Ewangelii itp.

Wreszcie będą mogli Ordynaryusze rozporządzić, żeby kapłani ich dyecezyi przez pewien przeciąg lat składali co roku egzamin ustny i pisemny z homiletyki.

Dekret ten, wydany 28 czerwca r. b. podpisali Kard. De Lai, jako sekretarz i Arcybiskup V. Sardi jako asesor Kongregacyi.

Problem studyów prawa kościelnego.

(Ciąg dalszy).

Wymienione konstytucye mogą być wytyczną do zakreślenia planów naukowych na przyszłość. Powiedzieliśmy wyżej, że wyniki studyum zależą od czasu i od metody. Co się tyczy długości trwania tego studyum, pod tym względem żądanie Kościoła wyrażone w pismach papieskich, może pozostać nietknięte, a nawet może być rozszerzone, pod względem atoli metodycznym może nastąpić zmiana odnośnie do dzisiejszych postępów naukowych.

Ze względu na to, że obecnie zakres nauki znacznie się rozrósł, a metodycznie wielce został udoskonalony, z tego wynika, że żadną miarą nie można ścieśniać dawniejszych granic, lecz raczej należy je rozszerzyć, a przynajmniej w poprzednich ramach umieścić materyał. Obecne bowiem wymogi życia jednostek, jak i stosunki społeczne, przedstawiają się w tak różnolitych fazach, o jakich nawet nie marzyły minione wieki, a ustawy kościelne nie mogą zostawić drgnienia ludzkiego, by mu nie zakreślić drogi, po której idąc, może osiągnąć cel ostateczny: całego bowiem człowieka, z jego nowożytnemi wymaganiami mają zespolić z Ewangelią. Stosunek też Kościoła do państw przedstawia dziś problem o wiele zawilszy aniżeli był w średnich wiekach, a nawet w czasach późniejszych. Trudności te wywołały nie tylko rozmaite formy nowoczesnych rządów, lecz także wprowadzenie różnolitych elementów w życiu wewnętrznem państw cywilnych. Z powodu rozszerzenia stosunków prawno-społecznych, nauka prawa musi być znacznie pogłębioną, by kanonista z korzyścią mógł pracować dla danego społeczeństwa.

Dawniejsze przepisy żądały od kanonisty, by obok prawa kościelnego gruntownie studyował prawo cywilne, zwłaszcza rzymskie. Kościół też, by dać podnietę do studyum tego prawa, wprowadził osobny stopień naukowy, kto zaś celował w obydwóch, ten otrzymywał stopień doktora obojga praw. Prawo cywilne miało charakter środka pomocniczego, miało ono bowiem zastąpić braki ustaw kościelnych. Również i dzisiaj, kto chce stanąć na wyżynie swego powołania, obok znajomości kanonów, jest obowiązany poznać inne jeszcze gałęzie prawa. Studyum to wzmocni jego umysł pod względem teoretycznym, a może być też drogowskazem w życiu praktycznem. Ponieważ obecna epoka dostarczyła więcej środków pomocniczych do nauki prawa, aniżeli je znały ubiegłe stulecia, kandydat tedy dzisiejszej doby więcej potrzebuje czasu, by je wszystkie poznać, niż scholar minionych wieków.

Pod względem metodyki nauczania musi nastąpić gruntowna reforma, która częściowo już wchodzi w życie, by nie tylko utrzymać dotychczasowe zdobycze, lecz aby całość nauki wprowadzić na szersze jeszcze tory, drogą ciągłego udoskonalania. Dawniejsze bowiem wykłady polegały głównie na komentowaniu lub na kazuistycznem przedstawieniu litery tekstu. Jako wzór, wedle którego profesor ma formować swoje wykłady, stawia papież Klemens XI. paratitlę Valensa,

która jest literalnym komentarzem dekretałów Grzegorza IX. Dzieła tego jednak nie można postawić obok historyczno-prawnych pism żyjących w owym wieku papieża Benedykta XIV. lub biskupa Devotiego, tem bardziej nie może ono iść w porównanie z dzisiejszemi wydawnictwami.

W wykładach bowiem kanonistyki dziś nie wystarczy jedna metoda. Metoda egzegetyczna, wprowadzona przez średniowiecznych glossatorów, chociaż nie jest pozbawiona zalet, ma jednak braki, przedewszystkiem to jej należy zarzucić, że nie ujmuje kanonów w całość systematyczną. Przeto konieczną jest metoda systematyki, czyli kanonista musi posługiwać się metodą scholastyczną, albo, jak ją nazywają ci, którzy wzdrygają się przed tem wyrażeniem, metodą prawniczo-dogmatyczną. Celem tej metody jest jasne określenie danego przedmiotu, stwierdzenie tegoż dowodami zewnętrznymi i wewnętrznymi, obrona przeciw postronnym zakusom i ujęcie danej kwestyi w pewną całość. Ponieważ historya na podstawie faktów i dokumentów może wyjaśnić prawne zasady i obronić je przeciw wrogom Kościoła, przeto metoda historyczna powinna być wprowadzoną do wykładów. Ze względu na to, że studyum prawa nie jest nauką ściśle teoretyczną, ale ma być nauką życia i rządów, z tego powodu w wykładach musi zająć poważne miejsce metoda praktyczna, czyli taka metoda, która podaje wskazówki stosowania teoryi w praktyce w poszczególnych wypadkach. Nie wystarczy obecnie jedna metoda, jak ongiś egzegetyczna, lecz dzisiejszy kanonista musi być znawcą wszechstronnej metodyki hermeneutyki prawnej.

Analogicznie do dawniejszych planów nakreślanych przez Papieży, można w ogólnych zarysach w ten sposób rozwiązać problem studyów prawa kanonicznego: Całość studyów powinna objąć kodeks i naukę środków pomocniczych.

Pierwszorzędnem źródłem i podstawą wykładów ma być nowy kodeks a roczną miarą dla jednego profesora jedna tegoż księga. Ponieważ kodeks podzielony jest na pięć ksiąg, z tego powodu, by zbyt nie przedłużać czasu studyów, równocześnie może komentować kodeks dwóch profesorów. Na dwa też lata między dwóch profesorów możnaby rozłożyć naukę kodeksu. Święta też Kongregacya dla seminaryów (dekret 7. sierpnia 1917) przepisuje nowy kodeks jak księgę tekstu do wykładów uniwersyteckich: Itaque Sacra Congregatio mandat... ut alumni, non modo Codicis sententia synthetice proposita, sed accurata quoque uniuscuiusque canonis analysi, ad cognoscendum et intelligendum Codicem veluti manu ducantur: debent scilicet doctores iuri canonico tradendo, ipso Codicis ordine ac titulorum capitumque serie religiosissime servata, singulos canones diligenti explanatione interpretari.

Sama jednak znajomość tekstu jest niewystarczającem źródłem wiedzy dla kanonisty. Oprócz tekstu powinien on dokładnie poznać źródła, z których on powstał, również ma dokładnie zaznajomnić się z rozwojem poszczególnych ustaw. Kanonista bowiem nie zrozumie należycie ustawy, dopóki nie pozna epoki, w której powstała dana ustawa. Z tego wynika, że musi on być znawcą historyi i to nie wolno mu zajmować się historyą Kościoła jakoby okolicznościowo, lecz ex professo ma ją sobie przyswoić. Już przy końcu XVIII. wieku zwracał na to uwagę uczony arcybiskup Devoti, że dla kanonisty historya Kościoła nie może być obcem polem. Historya bowiem w znakomity sposób wspiera egzegezę prawa. W jakiem znaczeniu należy rozumieć pewne zdanie, a nawet dane wyrażenie, może wykazać dawniejsza praktyka, którą przekazała historya. Jeżeli bowiem dane wyrażenie użyte jest w pewnem znaczeniu w szeregu uchwał soborowych, synodalnych lub w konstytucyach papieskich, jeżeli nadto praktyka kościelna tak je rozumiała, wynika z tego, że od powszechnie przyjętego znaczenia nie wolno odstępować, chyba że prawodawca wyraźnie to zaznaczy. Tak więc egzegeta musi pytać przeszłość o zdanie, jeżeli nie chce zbłądzić. Kanonista tedy nie zapuszcza sierpa na obce zagony, kiedy z niwy historycznej zbiera fakta lub wydobywa dokumenty, na których podstawie układa reguły hermeneutyki prawnej lub określa zasady życia społecznego. Przepisy też kościelne łączą się z faktami.

W wykładach dwojaką można stosować metodę: albo przy egzegezie tekstu poprzednio przedstawić historyczny jego rozwój, albo też można utworzyć osobną katedrę historyi prawa kościelnego. Dekret wspomnianej wyżej Kongregacyi tak mówi o konieczności uwzględniania historyi przy nauce prawa kościelnego: Magistri, antequam dicere de aliquo instituto aggrediantur, apte exponant, qui eius fuerit ortus, quae decursu temporis acciderint progressiones, mutationes ac vices, ut discipuli pleniorem iuris cognitionem assequantur.

Drugiem pomocniczem źródłem dla kanonisty jest znajomość prawa rzymskiego i staro-germańskiego. Jak Chrystus natury ludzkiej nie usunął, tylko ją udoskonalił przez nadprzyrodzone dary, podobnie i Kościół, kiedy rozszerzał się na pewnem terytoryum, głosił tam Ewangelię i wydawał nowe przepisy, nie obalał jednak odrazu wszystkich tam panujących przepisów, lecz jedne z nich przyjmował, drugie uzupełniał, inne poprawiał, a obalał tylko te prawa, które naruszały ustawy Boże lub też były przeciwne nowemu porządkowi. Ponieważ w początkach Kościoła panującem w całym omal ówczesnym świecie było prawo rzymskie, przeto Kościół zezwolił, by nowonawróceni wierni według tego prawa normowali swoje stosunki. Stąd powstała jakoby zasada: „Ecclesia iure Romano vivit". Zdanie to w całej rozciągłości nie jest prawdziwe. Kościół bowiem z jednej strony niezależnie od kodeksu rzymskiego ogłosił bardzo wiele kanonów, z drugiej zaś strony nawet pozytywnie potępił wiele praw ustawodawstwa rzymskiego. Odwoływał się do ustaw rzymskich jako do drugorzędnego źródła tylko w tych wypadkach, dla których nie wydał osobnego zarządzenia. W takim też charakterze zatwierdził je w urzędowym zbiorze c. 1. De mint. novi operis V. 32. Zatwierdzenie to zostaje w swej mocy prawnej do dzisiejszego czasu. Chociaż w przyszłości prawo rzymskie przestanie być obowiązującym środkiem pomocniczym, mimo to dla

kanonisty nie może pozostać materyą nieznaną. Wszak to prawo przez tyle wieków służyło Kościołowi; wiele ustaw rzymskich zrosło się z jego życiem, przeto dla poznania dawniejszych stosunków prawnych, znajomość jego i dziś jest konieczną. Oprócz tego definicye prawnicze i terminologia w wielkiej mierze są jego własnością. Praca tedy naukowa nigdy nie będzie źródłową, jeżeli obce dla niej będą zbiory starorzymskie[1]).

Niemały też wpływ wywarło na stosunki prawno-kościelne i prawo staro-germańskie, n. p. rozmaite formalności w procesie kanonicznym są stamtąd przeszczepione.

Kanoniści powinni zatem mieć swoją katedrę dla tych pierwotnych źródeł. Możnaby poświęcić przynajmniej jedno półrocze prawu rzymskiemu, by słuchaczy zapoznać z jego źródłami i ze stosunkiem jego do ustaw kanonicznych; w drugiem półroczu tę metodę należałoby zastosować do prawa starogermańskiego.

Dalszem źródłem powinno być prawo polskie. W pierwszym rzędzie należy wziąć pod rozwagę ustawy naszych synodów, instrukcye biskupów i konstytucye papieskie wydane dla Polski. Dzisiaj, kiedy stoimy przed odbudową państwa polskiego, i pod względem kościelnym zapewne nastąpi jednolita organizacya w całym ustroju państwowym. Ponieważ nowy kodeks zatwierdza partykularne prawa i zwyczaje i pozwala im istnieć i rozwijać się obok prawa powszechnego, z tego powodu należy zwrócić się do gruntownych badań naszej przeszłości, by z nią w jedności pójść w przyszłość. Tak więc konieczne są wykłady z dziedziny prawa rodzimego.

Na terytoryum Polski są dwa obrządki katolickie wschodnie t. j. ruski i ormiański. Wierni katolicy tych obrządków mieszkają wspólnie nie tylko na jednem terytoryum z wiernymi obrządku łacińskiego, lecz często tworzą jedną rodzinę pod jednym dachem; dlatego też często wytwarzają się najrozmaitsze prawno-kościelne stosunki między wiernymi różnych obrządków. Kapłan nie może być obojętnym na to, na jakich problematach opiera się życie jego wiernych, skojarzonych z wiernymi innych obrządków. Jest on tedy obowiązany poznać nie tylko ogólne przepisy, tyczące się obrządków i ich wzajemnych stosunków, lecz nie powinny mu być obce i partykularne ustawy synodalne i nowe zarządzenia władz duchownych innych obrządków. W wykładach przeto muszą być uwzględnione także ustawy obrządkowe Kościoła wschodniego.

Podstawą wszelkiego prawodawstwa pozytywnego jest prawo naturalne, które tkwi w naturze ludzkiej, przeto kanonista w szczególniejszy sposób powinien je sobie przyswoić, by mógł wydać sąd o każdem prawie powstałem nie tylko na gruncie chrześcijańskim, ale i pogańskim. Prawo bowiem naturalne jest własnością całej ludzkości, nie ulega ono zmianom, wszelka tedy ustawa, która je narusza, tem samem obala podstawy społeczności ludzkiej. Wydział też teologiczny a raczej kanonistyczny nie może być pozbawionym katedry filozofii prawa, albo raczej filozofii moralnej.

(Dok. nast.) **X. Grabowski.**

[1]) O stosunku Kościoła do ustawodawstwa starożytnego, zwłaszcza do rzymskiego i o wpływie tegoż na ukształtowanie się prawodawstwa średniowiecznego i nowożytnego mówi również bulla Benedykta XV. Providentissima Mater... Neque enim solum barbararum gentium leges curavit Ecclesia abrogandas ferosque earum mores ad humanitatem informandos, sed ipsum quoque Romanorum ius, insigne veteris sapientiae monumentum, quod r a t i o s c r i p t a est merito nuncupatum, divini luminis auxilio freta, temperavit correctumque christiane perfecit, usque adeo, ut instituto rectius ac passim expolito privato et publico genere vivendi, sive aetate media sive recentiore materiam legibus condendis satis amplam paraverit.

Ogarki rewolucyjne.

Studyum z psychopatologii rosyjskiej.

(Ciąg dalszy).

Rozmyślanie to przerwało przybycie gości. Rozmowa potoczyła się gładko na temat koncertu na cele dobroczynne, w którym miała wziąć udział pani domu, wyrzekająca na opieszałość komitetu, gdyż dotąd nie przysłał do niej tenora, z którym miała wystąpić w duecie. W tej chwili właśnie przybywa jakiś robotnik, a był nim właśnie ów oczekiwany tenor. Próba wypadła nadspodziewanie dobrze.

Po odejściu gości młoda kobieta siedziała długo bez ruchu, bez myśli. Było już późno w nocy, gdy z zadumy ocknął ją głos dzwonka, po którym domyśliła się powrotu męża. Czem prędzej uciekła do swego pokoju, gdzie po chwili pojawił się pijany, ciężko sapiący mężczyzna. Czas pewien zapanowało obustronne milczenie, przerwane nareszcie wyrzekaniami męża, który, choć podpity, mówił wcale do rzeczy, jak gdyby pożerająca go rozpacz — sprawiła w umyśle jego wytrzeźwienie z nadmiaru wypitych trunków. Zaczęły się wzajemne wyrzuty:

— „Ale kto winien mojemu upadkowi, — zapytuje mąż, dowiedziawszy się o tem, że żona postanowiła go opuścić, — kto winien temu, że zatchnąłem się, zmęczył, zgłupiał, stał się na wszystko, jak powiadasz, obojętny"?...

Przecież był czas, kiedy pracował za dziesięciu!.. Przecież — wie doskonale, że nie był nigdy bohaterem. Kiedy jednak był młody i gdy zerwała się burza i gdy wszyscy szumieli, wtedy szumiał też on, aż znalazł się na wygnaniu. Powrócili stamtąd cichszymi od wody... nie wszyscy, co prawda, ale i nie wszyscy powrócili... On zaś, na równi z innymi, stracił wiarę w powodzenie usiłowań rewolucyjnych.

Kiedy zaś na to odpowiada mu żona, że przestała go kochać, gdyż potrzeba jej człowieka silnego, któryby nie upadł na duchu, lecz prowadził dalej walkę z dotychczasowym ustrojem państwowo-społecznym, mąż wypomina jej słusznie chwilę, kiedy zaproponowano jej wzięcie udziału w pracy konspiracyjnej, ona zaś przelękła się i nie chciała uczynić ofiary z siebie. Niech inni lecą w ogień i wodę dla idei, ona zaś potrzebuje tylko pięknej pozy! Chciałaby odegrać rolę bohaterki, ale w ten sposób tylko, aby to wszyscy widzieli! Przecież nie żyła nigdy sercem, nie odczuwała cierpień tysiącznych mas, a kochać potrafi tylko tych, którzy są jej potrzebni i tylko dopóty, dopóki są potrzebni! Przecież ona nie może nikogo ani

niczego kochać, oprócz siebie samej! Zawsze marzyła jedynie o tem, iżby przyczepić się do jakiegokolwiek człowieka sławnego i z nim razem odgrywać rolę wybitniejszą, a następnie obrabować go z jego zasług i przywłaszczyć sobie należne mu laury... Dusza jej bowiem jest bezpłodna, jak pustynia arabska, w sercu zaś trwa nieprzerwanie noc bezgwiezdna. Jeżeli tedy nienawidzi ludzi, to dlatego, że czuje swoją wobec nich marność. Jest ona, jak bluszcz, jak orchidea, jak wszelkiego rodzaju pasożyt, — bo może tylko kraść cudzą własność, wysysać życie z innych. Wszystko za dotknięciem jej ręki ginie i umiera. A jeśli nad nią zawisło przekleństwo, to winni temu nie ludzie, nie życie, nie los, — tylko ona sama! Wszakżeż ona nie zrobiła ofiary najmniejszej dla nikogo, a natomiast żądała jej od ludzi dla swojej korzyści. To też, kiedy mąż dał jej z siebie wszystko, co było możliwe do oddania, stał się niepotrzebnym, jak stary koń!...

Kiedy zaś ona wyraziła brutalnie swoją pogardę mężowi, on, rozwścieklony, rzuca się na żonę z zamiarem uduszenia jej. Na szczęście wyśliznęła się zręcznie z jego rąk i umknęła z domu. On zaś, ścigając uciekającą, stracił równowagę i upadł na ziemię, a w tej chwili głowę zamroczyły mu trunki...

Takich ex-rewolucyonistów, którzy sprzedali ochoczo zasady za dobrą posadę, a w następstwie stawali się najtrwalszemi podporami reakcyi skrajnej, jak nie mniej kobiet egzaltowanych, a samolubnych, w rzeczy samej będących zerami moralnemi, wydała pseudo-rewolucya rosyjska nadmiar niespodziewany.

Skitalec umie idealizować nawet tłumy pospolite. W drobnych nowelach uwagę całą skupia zazwyczaj na masach: „Oktawa" jego — to chór; „Tiurma" — aresztanci; „Polewoj sud" — włościanie. A wszystko to dzikie, jakby szałem pijackim ogarnięte. Nie śpiewak — tylko chór; nie więzień — tylko mnóstwo więźniów; nie chłop — ale gromada chłopów!...

Skitalec rozumie tylko psychologię tłumów nieprzejrzanych. Jednostka jest dla niego czemś jak gdyby zupełnie obcem. Ale tłum to szalejący, zdziczony, zrozpaczony, zdecydowany na wszystkie ostateczności, rozgorzały namiętnością zemsty i krwi, tłum, co zaciśniętemi pięściami wygraża zawzięcie, obcesowo urojonej marze, która mu zagradza drogę rzekomą do szczęścia prawdziwego. I ma się czasami wrażenie, jakby przed tym tłumem stał niewidzialny Skitalec i wiódł go do mordów przy łunie krwawej pożarów. Krwi! krwi! — i jeszcze raz krwi!...

I ten Skitalec, obdarzony niewątpliwym talentem pisarskim, posiadający wiele danych, żeby zostać twórcą niepośledniej miary, schodzi w literaturze do rzędu pospolitych chwalców ohydy, polujących na tanie efekty.

Czemuż jednak głos jego niezdolny był poruszyć mas szerokich, pobudzić ich do czynu, czemu hasła, głoszone przezeń, nie znalazły odzewu o tłumach?... Odpowiedź łatwa. Bo tłumom brak tych wszystkich cech, jakich brakło bohaterom Skitalca, bo nie było w nich odwagi, ani przejęcia się ideą. Wszystkie te hasła, jakie od czasu do czasu wywieszały na swoich sztandarach, to liczmany bezwartościowe, mające tylko pozory rzetelności.

III.

Drobniejsze ptactwo.

Cechę specyficzną umysłowości rosyjskiej po dzień dzisiejszy stanowi pogoń za prawdą jakąś bezwzględną, której, oczywiście, szkoda szukać, skoro — wiadomo — że prawdy takiej niema. Sposób zaś takiego poszukiwania, iście Salomonowy, charakteryzuje wymownie Mereżkowskij, kiedy w usta następcy tronu Aleksandra wkłada słowa: — „Czy władza cara pochodzi od Boga? A jeżeli car jest obłąkany, czy od Boga? A może niema Boga"?...

Gdybyż jeszcze Mereżkowskij był pokusił się o danie odpowiedzi na takie patetyczne zapytania!... Cóż kiedy w dramacie p. t. „Car Paweł I." nie zdołał dojść do żadnej ściśle określonej konkluzyi życiowej, lecz stanął wobec zagadki nierozwiązanej i pytania, tylekroć słyszanego już w literaturze rosyjskiej: „Czto diełat?"..

Skoro tedy straciło się wiarę w Boga, a zatem wiarę we wszystko, nihilizm duchowy musiał siłą konieczności nieubłaganej wycisnąć swoje piętno na utworach pisarzy, którzy, straciwszy cel właściwy z przed oczu, zeszli na bezdroża. Skoro zaś zdali sobie sprawę z tej ewentualności najprawdopodobniejszej, że czytelnicy nie zawierzą teoryi, podanej „au naturel", postanowili podsunąć im ją w sosie filozoficzno-mistycznym. Pp. Sołłogub, Briussów, Zinowjewa wraz z licznem towarzystwem podobnych im pisarzy nie mieli innych środków, którymi mogliby oddziaływać na wyobraźnię czytelnika, oprócz bezeceństwa życia i — co gorsza — oszałamiającego bezeceństwa doktryny samej! Skoro oni owalani są kałem moralnym, — dlaczego inni mają być czyści?.. Similis simili gaudet! — powiada maksyma starożytna.

— „Gdyby ludzie wpatrywali się uważnie jeden w drugiego — powiada Remizow w „Krzyżowych siostrach" — gdyby wszyscy byli obdarzeni wzrokiem, to wówczas tylko serce żelazne mogłoby przetrwać i całą przeraźliwość i zagadkowość życia"...

Na nieszczęście tak patrzeć, jakby chciał tego Remizow, nie wszyscy ludzie umieją, a choćby nawet posiedli tę umiejętność, niewiadomo, czy zechcieliby usłuchać wezwania pisarza rosyjskiego? Wobec tego stara się utworami swoimi Remizow zabrudzić dusze czytelników, wtłaczając w ich ciasne mózgi teoryę nirwany... Jakżeż inaczej postępowali dawniejsi apostołowie samounicestwienia!.. Oni przynajmniej obiecywali swoim wyznawcom życie przyszłe, życie wieczne. Pisarze doby porewolucyjnej rosyjskiej tak wyczerpali się, że nie mogą uczynić już żadnych obiecanek w tej mierze...

Siła konieczności postawiła ich zatem wobec problemu nierozwiązanego: „Czto diełat'?"...

Co począć?... skoro od kilku dziesięcioleci bez przerwy inteligencya rosyjska zajęta jest dwiema ideami: ideą inteligencyi i ideą ludu. Literatura rosyjska szóstego dziesięciolecia XIX. wieku powtarzała nieustannie, aż do znudzenia: czem jest inteligencya współczesna, jakie jej zadania w najbliższej przyszłości, jaki plan pracy, jaki program etyczno-społeczny. I — z wyjątkiem jedynego Dostojewskiego — „narodnicy", choć sprawa podniesienia warstw ludowych była hasłem ich naczelnem, nie starali się idealizować tych mas ciemnych, nie imputowali im

jakiegoś posłannictwa nadzwyczajnego, i — jakkolwiek niezaprzeczenie kładli nacisk celowo a świadomie na dodatnie strony ludu, szukając równocześnie okoliczności łagodzących strony jego ujemne, nie przewartościowali walorów istotnych.

Gdyby zaś nawet, sądząc najsurowiej i bezwzględnie, przyznać było trzeba, że „narodnicy" przewartościowali lud, to przecież równocześnie będzie koniecznem przyznać, że uczynili to z nadmiaru ukochania tych mas biednych, ciemnych i poniewieranych na każdym kroku. To wszelako najmłodsze pokolenie pisarzy rosyjskich, które ocalało z zawieruchy pseudo-rewolucyjnej, mija się z prawdą w tem, co pisze o ludzie, z przyczyn zgoła innych.

Niepodobieństwem byłoby rozstrzygać, który z dwu czynników podziałał silniej na pisarzy: trwoga czy nadzieja? Bo nie da się chyba zaprzeczyć, że rola, jaką odegrał lud wiejski i robotniczy w ruchu anarchistycznym pierwszych lat konstytucyi rosyjskiej, przeraziła tych, którzy byli świadkami zaburzeń agrarnych, podpalań i samorządów, ożywiła zaś ducha w kołach rewolucyjno-mistycznych, wierzących w odrodzenie duchowe narodu rosyjskiego, za pomocą jakiegoś bliżej nieokreślonego przewrotu moralnego, którego sprawcę upatrywano w warstwie ludowej.

Istna wieża Babel, skoro obok siebie mogły stanąć pobożne kontemplacye moralne, zbrodnie pospolite i wyuzdanie płciowe!...

Fakt ten, niemożliwy do pomyślenia gdziekolwiek indziej w Europie, rozjaśni się nieco, skoro zajrzymy do genealogii pisarzy tej kategoryi.

Wszak taki burżuazyjny piewca rewolucyi, jakim jest Arcybaszew, jest — niestety! — po kądzieli wnukiem Kościuszki!... Krwi tej polskiej wszelako nie dorżnąćby się w jego żyłach, boć — pamiętajmy — tętni w nich przeważnie tatarsko-żydowska. Wypowiedziała się też ona w całej pełni przez jego usta.

(C. d. n.). *Dr. St. Zdziarski.*

Siódma pożyczka wojenna.

W nową dziś weszła fazę największa z wojen, jakie pamiętają dzieje. Po strasznych, a zasłużonych klęskach Serbii, Rosyi i Rumunii przyszła kolej na zdradzieckie Włochy, które zawiodły się srodze w swojej nadziei odegrania roli potężnego mocarstwa kosztem monarchii austro-węgierskiej: Trydent, Tryest, Dalmacya, Albania, morze adryatyckie — to wszystko miało przypaść w udziale Italii zjednoczonej, opanowanej manią wielkości, uważającej się za spadkobierczynię światowładnej Romy, a w rzeczywistości okłamywanej i na bezdroża prowadzonej przez wolnomularzy i innych wrogów Kościoła. Dopóki wojska austro-węgierskie broniły tylko granic monarchii przeciwko masom przeważającym najezdzców, mogły te masy czynić drobne postępy, które rozgłaszano jako świetne zwycięstwa; ale z chwilą, gdy trzeba było stawić czoło energicznemu natarciu, okazała się armia włoska do tego niezdolną, zabrakło jej siły moralnej i odwagi i w przeciągu dni kilku utraciła wszystkie dotychczasowe zdobycze, cofając się bezładnie pod naporem dawnych jej sprzymierzeńców, a dziś mścicieli jej zdrady.

Dziwniejsza jeszcze zmiana zaszła na północy, w groźnem do niedawna państwie białego cara, które uległo zupełnemu rozprzężeniu i okazuje się już niezdolnem do dalszego prowadzenia wojny.

Zbliżamy się zatem — jak możemy mieć nadzieję uzasadnioną — do upragnionego i pomyślnego dla nas końca wojny — pomyślnego zwłaszcza dla Polski, która już mogła rozpocząć budowę własnego państwa. Tem chętniej więc, z tem większą otuchą powinien każdy z nas według sił swoich dopomagać do wywalczenia ostatecznego zwycięstwa, przyczyniając się do powodzenia siódmej i prawdopodobnie ostatniej — pożyczki wojennej. — Nie wątpimy, że i nasi Czcig. Czytelnicy dowiodą i teraz swej gotowości do ofiar dla dobra publicznego — dla Ojczyzny.

Redakcya.

U grobu królewny węgierskiej.

Fragment z dziejów Lwowa książęcego.

W swym „Lwowie troistym" zamknął B. Zimorowicz dzieje Lwowa od chwili narodzin jego, po przez epokę niemiecką, do supremacyi żywiołu polskiego. Dzieło patryotycznego burmistrza-dziejopisa to dokument niezwykłej dla dziejów miasta naszego wartości, dokument jednak tylko pisany, papierowy. Nie wielu zaś wiadomem jest, iż w tem mieście, co tak starannie zacierało ślad wszelki przeszłości, z takiem zamiłowaniem „łamało" dawne swe mury, a dla tem dokumentniejszego ich zatracenia nie zawahało się nawet górą całą raz je zasypać — kryje się skromnie i żywy świadek owego Lwowa troistego. W najstarszej części jego, u stóp góry Zamkowej, z której zejdziemy ulicą Spadzistą, Podgórną lub Schodową, ocierając się o Smerekową, Lwią lub Rybią, u skraju samego Rynku starego zachował się ów zabytek czcigodny, tak mało dziś komu znany.

Wszystko tam tchnie pleśnią wieków odległych — w zaułkach zawiłych, jeszcze nie całkiem, Bogu dzięki, pod sznur wyrównanych, jakby się duch stuleci minionych przyczaił, nie wypłoszony jeszcze porządkiem modnym. Ostały się też na szczęście dawne nazwy ulic, których piękno i mądrość na prawdzie dawnych pokoleń praktycznych się zasadza. Każda z nich bowiem istotnie coś wyjaśnia, istotnie dla oryentacyi służy i dobrze się stało, że jakoś szczęśliwie uchylić się im powiodło z pod chrztu powtórnego. Mania przeinaczania nazw starodawnych do tego doprowadziła w rezultacie, że zatracono całkowicie świadomość nawet tego, gdzie miasto ongiś się rozlegało. Mieszkaliśmy we Lwowie, nie wiedząc, gdzie właściwie dawniej mury swoje wznosił!

W chaos najsprzeczniejszych zapatrywań na kwestyę topografii Lwowa starego wniósł ład dopiero dr. M. Czołowski (Lwów za ruskich czasów. 1891), którego badania ustaliły ostatecznie, kiedy, gdzie, i jak się gród ten pobudował. Ośrodkiem głównym życia stolicy książęcej był obszar dzisiejszego Podzamcza, Krakow-

skiego i Żółkiewskiego, gdzie do dzisiaj wznoszą się najstarsze świątynie chrześcijańskie, świadcząc, gdzie leżał Lwów książęcy.

Główną część dzisiejszego „Rynku Starego" zajęła bożnica „postępowa", gmach wielkich rozmiarów, za którym całkowicie kryje się drobnych kształtów kościółek, wciśnięty ponadto w mury sąsiednie tak, iż dopiero przed kratą żelazną spostrzega się krzyż na wyniosłym szczycie, a tuż obok i skromną dzwonicę. Z prawdziwem zdumieniem staje się przed tem zjawiskiem, bo jak na zjawisko w swoim rodzaju patrzy się na kościół w tych stronach, bynajmniej nie zapowiadających czegoś podobnego. Z pomocą jednak przychodzą jakieś niejasne wspomnienia, iż tu gdzieś w tych zakamarkach mieścić się ma jakaś odwieczna świątynia, jakoby od miasta nawet samego starsza, jak o tem bajali dawni starożytnicy, a za nimi zwykli profani. Z uczuciem szacunku spogląda się na te proste mury, ale i równocześnie budzi się wątpliwość, czy istotnie miałyby być one aż tak odwiecznymi, aż tak odległych czasów sięgające. Mimowoli stwierdza się jakąś niezgodność między tem, co się słyszało, a tem, co się na własne oczy ogląda. Spoziera bowiem na nas z poza furty żelaznej zgoła nie stary mur od cegieł czerwony, a i nie starsze odeń nakrycie dachowe, jak i wogóle całe otoczenie najbliższe kościółka. Cóż więc jest w tem — gdzie ta zgrzybiałość budowli, gdzie ślady owych siedmiu prawie wieków, których ciężar dźwigać mają jakoby na sobie mury kościółka św. Jana Chrzciciela?

A jednak nie zawodzi ani oko, ani tradycya. Kościół ten równocześnie jest i stary i nowy — stary w zrębie podwalin, nowy w szacie zewnętrznej. Lwów lubiał „łamać" dawne swe mury, z zamiłowaniem okrywał je, osłaniał, jakby się wstydził wieku ich podeszłego. Wyłamano więc i mury tego kościółka, zatracając powagę starożytności, a nie mogąc nadrobić jej dodatkami nowszymi. W rezultacie, kościół starożytnym jest niemal z samego miana tylko, bo, niestety, nie z budowli i wyglądu, — z tymi załatwiły się już dawno pożary i gorsze od nich, restauracye.

Drogą dociekań żmudnych powiodło się ustalić najciekawsze momenty z dziejów świątyni, wyjaśnić zagadki z istnieniem jej związane. Tradycya tak dzisiejsza, jak i czasów najdawniejszych utrzymywała, iż powstaniem swem wyprzedził kościół św. Jana narodziny Lwowa samego, że na lat kilkanaście przedtem ulokował się w kotlinie Pełtwi i to w miejscu, na którem go do dziś oglądamy. Jak najczęściej, tak i w tym wypadku, głos ludu nie okazał się głosem prawdy, chociaż i niejedno w tej tradycyi zachowało jakieś odległe echa minionej rzeczywistości. Że jednak zazwyczaj badania naukowe swoją kroczą drogą, a tradycya swoją, zatem nie dziw, że i dziś jeszcze, jak za czasów kanonika Pirawskiego, zachowuje się u ludu, a i u przygodnych znawców, przekonanie o pierworodztwie kościoła św. Jana. Nic dla nich nie znaczy bezcelowość i niepraktyczność, o którą podejrzywają założycieli jego w miejscu odludnem, w którem dopiero o ćwierć wieku później gród powstaje; niewiele też oglądają się na badania historyczne.

Zachował się jednak w opowieści ludowej szczegół pewien, zgodny z faktem dziejowym, chociaż reminiscencyę tylko niejasną jego stanowi. Z założeniem kościółka wiąże mianowicie tradycya zakon OO. Dominikanów, jako najpierwszy, co na Ruś przybył, by tu głosić naukę Kościoła katolickiego. Mistrz ich, św. Jacek, założycielem miał być najstarszej owej świątyni lwowskiej i to według jednych w 1223 r., według zaś innych w 1234 roku, a zatem jeszcze przed powstaniem Lwowa. Bezzasadność tej chronologii wykazał zbyt dosadnie dr. Al. Czołowski, by trzeba ją było udowadniać jeszcze, ale wyjaśnić należy, jaka rola przypadła w udziale OO. Dominikanom, domniemanym założycielom kościoła św. Jana, w powstaniu jego i pierwszych latach istnienia za czasów ruskich. Ciekawy to ustęp z dziejów Lwowa książęcego, to też i ściśle się z nim wiążący.

Ruś, od pierwszych zawiązków chrześcijaństwa zwolenniczka kościoła wschodniego, raz jeden za czasów swej niepodległości zbliżyła się znacznie do Rzymu. Było to w połowie XIII. w. po strasznych najazdach mongolskich, które skłoniły Daniłę do szukania w Rzymie pomocy. Stosunki, zresztą bardzo krótkie, z stolicą papieską sprzyjały czas pewien propagandzie katolickiej, co jednak z gruntu uległo zmianie za księcia Lwa, wielkiego przeciwnika Zachodu, gorliwego wyznawcy cerkwi wschodniej. I chociaż jakby się to dziwnem zdawać mogło, właśnie na panowanie i opiekę jego kładzie tradycya powstanie pierwszego na Rusi kościoła, wiążąc go przytem najmocniej z jego osobą za pośrednictwem świątobliwej małżonki, księżnej Konstancyi, córki króla węgierskiego Beli IV., a siostry św. Kunegundy. Ten właśnie szczegół przemawia na korzyść tradycyi wspomnianej, albowiem nadmienić trzeba, iż księżna Konstancya mimo związku z księciem Lwem, wyznawcą kościoła wschodniego, do końca życia wytrwała w wierze katolickiej, w czem jej też nie przeszkadzał nigdy małżonek. Owszem, nawet odstąpił on jej — według B. Zimorowicza — swój pałac książęcy, który przed zbudowaniem jeszcze obydwu zamków zamieszkiwał. Przykład świątobliwego życia księżnej zyskał naśladowców nawet wśród greckiego wyznania, za czem w ślad pójść miały budowle cerkwi i monastyrów. Książę Lew, zajęty urządzaniem i obwarowywaniem nowego grodu, nie sprzeciwiał się temu, żywiąc zresztą dla żony uczucie wielkiego poważania.

Za panowania księcia Daniły spełniali misyę katolicką na Rusi Dominikanie polscy, o których jednak słuch zaginął za rządów Lwa. O Dominikanach wogóle wiadomo za jego czasów, ale wyłącznie o węgierskich, których zapewne z ojczyzny swej sprowadziła księżna Konstancya. Dla nich to zapewne fundowała kościółek, a raczej kaplicę dworską, w której modły odprawiała z dworem swym katolickim. A jeśli istotnie za jej staraniem wzniósł się kościół św. Jana Chrzciciela, w takim razie nie można odmówić sensu historycznego napisowi, który jeszcze K. Widmann („Kościół św. Jana Chrzc." Lw. 1869) czytał na murze mię-

dzy prezbiteryum a nawą, a który głosił: „Visitavit dominus et erexit anno 1270“. Inna rzecz, że ten, kto go w tem miejscu umieścił, uczynił to wieki całe po tej dacie, oryentując się na podstawie jakichś dokumentów, przyczem popełnił tę niekonsekwencyę, iż kazał „panu“ zwiedzić to, co nie było jeszcze wzniesione.

Pierwsza wzmianka dokumentarna o Dominikanach we Lwowie pochodzi dopiero z r. 1374, a zapiski i dziś jeszcze istniejące w konwencie lwowskim wyjaśniają, że klasztor fundowany został przed r. 1297 na dworze książęcym. Różnicę tę w datach przypisał dr. M. Czołowski słusznie rozmyślnemu przekręceniu tradycyi z początkiem wieku XVII., naginającej fakty do celów pewnych — echem tego jest też zapewne ów napis w kościele z datą 1270 r. Istotnie zaś przyjąć można, iż kościół św. Jana fundowała dla Dominikanów księżna Konstancya, wobec czego słusznie uchodzić on może za najstarszy nie tylko we Lwowie, ale i na Rusi całej.

Jak cały gród Lwa, tak zapewne i kaplica księżnej zbudowana była z drzewa, a zatem mogła już w ciągu nawet lat pierwszych nieraz uledz pożarom i zamieszkom wojennym. Zastanawia jednak uporczywość, z jaką wszystkie następne wieki trzymały się tego małego skrawka ziemi w warunkach, w których tak łatwo zapomniano o szeregu całym innych świątyń raz zniszczonych. Przecież nic naturalniejszego nad zaniechanie ruin drobnej kaplicy w czasach, kiedy istniały już okazałe budowle innych kościołów, a kościółek św. Jana znalazł się do tego za murami miasta, po przeniesieniu przez Kazimierza W. centrum grodu na inne miejsce. Wskazywałoby to na jakąś bardzo znaczną atrakcyę tego punktu, której też przypisać należy, iż nawet w najbardziej niesprzyjających okolicznościach nie została zerwana nić tradycyi, a przeciwnie, kościółek coraz się odradzając, dotrwał do naszych czasów z temi samemi podaniami, które osnuwały go już w wiekach najdawniejszych. Szczegółem zaś, około którego osnuwały się wszystkie te opowieści, była tradycya, iż w świątyni tej spoczynek wieczny znaleźć miała bogobojna księżna Konstancya, czego dowody rychło okazać się miały w postaci cudów na jej grobie. Wspominają o tem nie tylko zapiski Dominikanów lwowskich, ale i biograf św. Kingi (Monum. Pol. IV. 684), a po nim i uczony kanonik T. Pirawski z pocz. wieku XVII (Relatio status, str. 109). I ten właśnie grób, cudami słynący, stanowił ów magnes, nie pozwalający na całkowite opuszczenie uświęconego nim skrawka ziemi.

(Dok. nast.) **B. Janusz.**

KRONIKA KOŚCIELNA.

Z dziejów inwazyi włoskiej w Gorycyi. Na działalność „kulturalną“ Włochów w obszarach, które udało im się na krótki czas zająć w ciągu obecnej wojny, rzucają światło bardzo niekorzystne wiadomości, podane przez dzienniki katolickie: „Italia“, „Avvenire d'Italia“ i „Momento“. Oto osławiony socyalista, poseł do Izby deputowanych, wydawca nikczemnego pisemka „Asino“ — Podrecca uprawiał i w Gorycyi swoją antikatolicką propagandę, która, jak słusznie sądzą owe dzienniki, była i ze stanowiska interesów włoskich szkodliwą, bo utwierdzała część ludności, stojącą po stronie Austryi, w jej przywiązaniu: Austrya — mówiła sobie ta ludność — szanowała naszą religię, a włoski rząd przysyła nam takich ludzi, jak Podrecca! Między innemi wyraził ten wróg religii wielką radość swoją z powodu zniszczenia przez armaty włoskie kościoła na Monte Santo (o którym pisaliśmy w kronice nru 30 G. K. z r. b.), bo przez to zniknęło gniazdo „zabobonów“. Może jednak teraz stronnictwo, rządzące we Włoszech zjednoczonych, zrozumie, że lepiej było posłuchać Ojca św. i zawrzeć pokój niż kusić się daremnie o zdobycie Tryestu!

Zakaz pojedynków w armii austryackiej. Dziennik wojskowy Streffleura donosi: Najj. Pan wydał do armii i floty rozkaz, w którym zabrania wszystkim członkom siły zbrojnej pojedynków i wszelkiego udziału w pojedynkach. Kto swoje życie naraża na niebezpieczeństwo w pojedynku, działa nietylko przeciwko przykazaniom i ustawie, ale także i przeciwko Ojczyźnie, która liczy na nieosłabioną energię każdego mężczyzny, potrzebną obecnie dla obrony granic, a później dla odbudowy i postępu.

Rozporządzenie to będzie powitane z radością przez cały świat cywilizowany, który oddawna pragnął usilnie, żeby władze użyły nareszcie środków skutecznych przeciwko manii pojedynkowej, porywającej co roku tyle ofiar wśród społeczeństw europejskich. Uchwalono wprawdzie ustawy, które nakładały kary surowe za „zbrodnię pojedynku“, ale cóż, kiedy tych ustaw nie wykonywano, bo sąd przysięgłych uwalniał prawie zawsze zbrodniarza — a jeżeli którego skazano, następowało zaraz ułaskawienie. Tak było i w wojsku, a raczej tam było jeszcze gorzej, bo „sądy honorowe“ zmuszały często oficerów do pojedynku, albo do złożenia szarży. Dużo rozgłosu wywołała np. przed laty sprawa markiza Tacoli'ego i br. Ledóchowskiego, z których pierwszy nie przyjął pojedynku, a drugi musiał także opuścić szeregi wojska dlatego tylko, że jako katolik oświadczył się zasadniczo przeciw pojedynkom — Pod naciskiem opinii publicznej, a zwłaszcza sfer wojskowych stawali nieraz i Polacy katolicy do pojedynku, dając przez to zgorszenie ogółowi wiernych. A przecież nie trzeba dowodzić ludziom rozumnym, że honor można utracić tylko przez czyny hańbiące, a nie przez obelgi, które nam wyrządzają inni, a na które nie zasłużyliśmy sobie, że najmniejsza plama nie spada na honor człowieka zacnego przez to, iż nie chce zabijać ani kaleczyć miotających na niego obelgi, ani własnego życia narażać bez potrzeby. To też i najwięksi wojownicy, jak Napoleon, Sobieski, Fryderyk II. pruski, Radecki, zakazywali stanowczo pojedynków.

Wdzięczność więc wielka należy się młodemu monarsze za to rozporządzenie, które niewątpliwie przyczyni się do położenia tamy pojedynkom, nie tylko w armii austryackiej, ale i w kołach cywilnych. Z drugiej jednak strony potrzebna jest także reforma ustawodawstwa w tym kierunku, żeby ludzie, szarpiący honor bliźniego, ponosili za to kary dotkliwe, żeby nie mogli liczyć na pobłażliwość sądów!

Z życia kościelnego w latach wojny. Nowy tom cennego wydawnictwa X. H. A. Krose'go S. J. p. n.: „Kirchliches Handbuch für das katholische Deutschland“ (Freiburg, Herder, cena 8 mk.) podaje dużo wiadomości cennych o działalności i losach katolików w latach 1916 i 1917. I tak dowiadujemy się tu między innemi, że w samych Niemczech powołano do wojska 2832 teologów (na ogólną liczbę 3352); 2426 służy z bronią w ręku, a 406 w szpitalach. 399 już poległo.

Jedną tylko uzyskali satysfakcyę teologowie niemieccy w ostatnich latach, a mianowicie tę, że według rozporządzenia pruskiego ministra wojny (z końca listo-

pada 1915) mogą teraz i oni awansować na oficerów; rzeczywiście też pewną ich część, choć stosunkowo bardzo małą, bo 146, zamianowano już oficerami.

Liczba zakonów rośnie z roku na rok: w r. 1915 było w Niemczech 335 klasztorów męskich, a w tych 6.456 zakonników i 274 nowicyuszów; żeńskich 6246, w tych 64249 zakonic, a 4748 nowicyuszek.

Duchowieństwo niższe świeckie otrzymuje w Niemczech pensye znacznie wyższe niż w Austryi i na Węgrzech. Jako najmniejszy dochód zasadniczy ustanowiona jest wszędzie kwota 1800 marek, która może się podnieść do 4.000. Wyższe jednak duchowieństwo, a mianowicie biskupi otrzymują dotacye stosunkowo zbyt skąpe: po 16000 marek (najmniej); arcybiskupi gnieźnieński i koloński mają tylko 36000 mk. rocznie.

Groźnym i bardzo smutnym objawem jest ciągłe zmniejszanie się liczby urodzin, szczególnie wśród ludności protestanckiej, ale i niektóre sfery katolickie uległy już wpływom rodaków niewierzących, a zwłaszcza małżeństwa mieszane okazują się i w tym względzie zgubnemi. Z małżeństw tych rodzi się daleko mniej dzieci, niż z katolickich, a nawet mniej niż z czysto-protestanckich, a nadto większa część tych dzieci przepada dla Kościoła katolickiego.

Wogóle stwierdzają także cyfry, że katolicy, którzy żyją pomieszani z protestantami, stają się daleko bardziej opieszałymi w spełnianiu swoich obowiązków religijnych niż ich współwyznawcy, nie narażeni na wpływ innowierców. Więcej też (4—10 razy) bywa między nimi narodzin nieślubnych, a zdarzają się i rozwody, które są prawie nieznane w okolicach z przewagą ludności katolickiej.

Bibliografia.

X. Stagraczyński. **Kazania adwentowe**. Stron 214. Opr. 6 kor. Kazania na Boże Narodzenie i na uroczystość św. Szczepana. Stron 136. Opr. 4 K 50 hal. Kazania noworoczne. Stron 92. Opr. 4 K. Mikołów 1917. Miarka i Sp.

W wydaniu tem uderzają na pierwszy rzut oka pewne właściwości dość dziwne: najpierw nie dowiadujemy się ani z przedmowy (której niema wcale), ani z kartki tytułowej. że jest to wydanie nowe kazań, ogłoszonych przed laty przez X. Józefa Stagraczyńskiego (zmarłego w r. 1906; -- „Biblioteka kaznodziejska" tom I. w r. 1870, tom IX. w r. 1894; jest to zbiór kazań oryginalnych polskich i tłumaczonych. Nadto wydał on „Nauki katechizmowe" w 5-u tomach, Poznań 1889 i „Zbiór kazań na uroczystości Zbawiciela" ib. 1876; a po jego śmierci wydano tamże r. 1908 „Wybór kazań" — w 2 tomach). Dalej spostrzegamy dopiero przy przeglądaniu tych tomików, że zawierają one obok kazań X. Stagraczyńskiego także utwory innych kapłanów, którzy jednak nie wszyscy są wymienieni. I tak przy kaz. na II. niedz. Adwentu (str. 47 nn.) nie podano nazwiska autora, którym nie jest zapewne X. Stagraczyński, jak wnosić można ze stylu, bardzo staroświeckiego. Nie wymieniony jest autor kazań na urocz. Niep. Poczęcia N. Panny (str. 93 nn.) itd. A przecież można było prawdopodobnie znaleźć nazwiska autorów w „Bibliotece Kaznodziejskiej" (której jednak nie posiadamy).

Pierwsze kazanie adwentowe jest utworem X. Kaspra Balsama T. J., który był jednym z najlepszych kaznodziejów polskich swego czasu († 1759 w 43 r. życia)[1]). Autorem innych jest X. Andrzej Murczyński T. J. (ur. w r. 1685 † 1748, nie mógł więc wygłosić kaz. na 1-ą niedz. Adwentu w r. 1756, a rok ten podany jest na str. 23). Kaz. 1-e na B. Narodzenie jest napisane przez X. Tomasza Grodzickiego T. J. (ur. 1718 † 1802). Inne są pióra Stagraczyńskiego, o którego zaletach i wadach wypowiedzieliśmy w krótkości swoje zdanie w Gaz. K. z r. 1908, str. 481, donosząc o wydaniu „Wyboru kazań niedzielnych i świątecznych." Kazania te odznaczają się prostotą i praktycznością, mówią o prawdach starych, lecz zawsze potrzebnych, zawierają dobre cytaty z Pisma św. i Ojców. Ale niejednemu z nich trzeba wytknąć brak starannego obmyślenia, brak przykładów i opowiadań, słabe zakończenie itd. Popada on aż nazbyt często w banalność i powtarza nieraz te same myśli, nie odznaczające się wcale głębokością i siłą, jak np. na str. 75-76 kazań na Nowy Rok: „W wielu domach zezwalają na to, co do grzechu prowadzi. Pozwalają na tańce, na muzyki, na złe znajomości, na gry, na pijatyki... A co się dzieje w niejednym domu? Schodzą się z daleka i z bliska ludzie młodzi na gry, na zabawy, na tańce, na pijatyki. Ileż u nas domów pijackich! Gospodarz pijak, a co haniebniejsza, może i gospodyni sama oddana pijaństwu" itd. — Inaczej trzeba o tych rzeczach mówić, jeżeli się chce uczynić wrażenie i pobudzić słuchaczy do poprawy życia.

Lepszą pod niejednym względem osnowę znajdujemy w przedrukowanych tu kazaniach autorów starszych: Balsama i Murczyńskiego, którzy korzystali więcej z wzorowych utworów homiletycznych. Ale tu razi znów często wysłowienie przestarzałe i ciężkie, jak np. na str. 66 n. Kazań adwentowych: „Gniewają się teraz godniejsi, że im czasem z niewiadomości, nieostrożności nie dadzą własnego tytułu, albo w pisaniu umniejszą. Osoby rozmiłowane serduszkami się nazywają. U prawowiernego katolictwa strzegą się tego imienia: Judasz Iszkariot" itd. „Jaki obyczaj miała (myśl lubieżna), czyli się tylko w sercu żarzyła, czyli też do powierzchownej jakiej postąpiła sprawy: skinienia, mrugania, ułożenia, dotknięcia?" (str. 158). „Tak, mówię, całego świata roztrząsać będzie sprawy niezawiedzenie, dokładnie, szczegółowo, okolicznie" (str. 160). „By nikt nie rozpaczał na niedole (?) swych grzechów" (str. 237).

Kto więc będzie korzystał z tych kazań, powinien styl ich w wielu miejscach poprawić i zmodernizować.

X. P.

[1]) „Miał on talent krasomowczy i odznaczał się gorliwością apostolską, a wady epoki naśladownictwa nie występują u niego jaskrawo" — pisze o nim X. Biskup Pelczar w swoim „Zarysie dziejów kazn. w Polsce" wyd. 2-e, 1917, str. 286).

Z liturgiki.

Alba czy komża?

Wielu kapłanów ma to przekonanie, że funkcyi liturgicznych, połączonych z wystawieniem Najśw. Sakramentu w monstrancyi, trzeba dopełniać koniecznie w albie, przy wystawieniach zaś w puszce używać komży. Przepisy kościelne w tym względzie są następujące:

Alba cum amictu et cingulo induitur: a) in celebratione Missae (rubr. gen. Missal. p. II, lit. 1, n. 3), — b) in expositione, repositione et benedictione SS. Sacramenti, quae fit cum Diacono et Subdiacono ministrantibus (S. R. C. decr. auth. n. 3029 ad 15, 5208 ad 20 Eph. liturg. t. VII, pag. 322), — c) in illis sacris functionibus, in quibus pluviale induitur et quae Missam immediate praecedunt vel subsequuntur, jak święcenie gromnic i palm, lub procesya z N. Sakramentem zaraz po Mszy św. (Rubr. gen. Miss. tit. XIX, n. 4).

Owszem, według dekr. S. K. Obrz. n. 1077 ad 3, in Vesperis solemnibus, ac Matutino et Laudibus Celebrans, qui non est Episcopus, nequit uti alba, nec amictum et stolam sub pluviali deferre.

Z drugiej strony, si ante Vesperas fiat expositio, et benedictio immediate illas sequatur, licet sumere amictum et stolam ante Vesperas (S. R. C. 19. 9. 1883).

Nadto: Quando Sacerdos solus, vel cum alio Presbytero seu Diacono assistente expositionem vel repositionem cum benedictione peragit, tunc albam vel superpelliceum induere potest (decr. auth. S. R. C. nr. 3005).

Zatem: 1. Nieszpory bez wystawienia należy odprawiać w komży i kapie; zakaz używania stuły u nas vi generalis consuetudinis nie obowiązuje.

2. O ile wystawienie, czy schowanie Najśw. Sakramentu nie jest ściśle złączone ze Mszą św., może Celebrans włożyć do woli albę lub komżę.

3. Jeśli te obrzędy odprawia w asystencyi dyakona i subdyakona w dalmatykach, musi ubrać albę — w danym razie już na nieszpory. X. J. A.

Błog. Najśw. Sakr. w kościołach, gdzie się stale nie przechowuje Sanctissimum.

W dziele „Handbuch fur k. u. k. kathol. Militargeistlichkeit" autor tegoż, X. Biskup E. Bjelik, Wikaryusz Apostolski dla c. i k. armii i floty, podaje przepisy, jak postąpić ma kapelan wojskowy, celebrujący Mszę polową, gdy po niej ma udzielić błog. N. Sakr. Otóż konsekruje 2 hostye, drugą po Kom. św. wkłada do monstrancyi i stawia na środku ołtarza, umywa palce w naczyńku, nakrywa kielich pateną, palką, welonem i bursą i kończy Mszę św. Po błogosławieństwie spożywa hostyę, bierze ablucyę, wyciera kielich i odchodzi od ołtarza.

W naszym kraju tyle kaplic, do których kapłani chętnie dojeżdżają, używając nawet w tym celu pozwolenia na binowanie. Ponieważ jednak w tych kaplicach niema Stmum, lud nie ma nigdy szczęścia otrzymać błog. N. Sakr., nie można też odprawić procesyi B. Ciała. Wspominam o powyższym przepisie dla kleru wojskowego, bo zapewne oparty on jest na pozwoleniu Stolicy św., choć o tem X. Biskup Bjelik nie czyni wzmianki. Czyby takiego pozwolenia nie można otrzymać dla wspomnianych kaplic? X. J. A.

Z lwowskiego Koła XX. Katechetów.

Zawiadamia się XX. Katechetów szkół ludowych we Lwowie, że K. B. K. będzie mógł dopiero we środę 21-go b. m. dostarczyć bucików dla dzieci do lokalu Związku na godz. 3-ą. Dla uczniów szkół średnich przeznaczono 200 par. XX. Katecheci szk. śr. zechcą porozumieć się między sobą w tej sprawie 21 bm.

W tym samym dniu odbędzie się **lekcya z historyi kościelnej** (X. Dra Gerstmanna), w gimnazyum szóstem od godz. 4-ej do 5-ej popoł.

Wiadomości dyecezyalne.

Archidyec. lwowska ob. łac.

Egzamin na katechetę dla szkół średnich złożył X. Leopold Klementowski, katecheta II gimnaz. w Tarnopolu.

Konkurs na probostwa we Lwowie: S. Maryi Magdaleny, S. Anny i S. Elżbiety rozpisano z terminem do końca grudnia br.

Zmarli: X. Antoni Smoliński, proboszcz w Borszczowie, w 43 roku życia a 19 r. kapłaństwa; X. Dr. Stanisław Wysocki, b. docent uniwersytetu lwowskiego i b. prefekt seminaryum duchownego, w 41 r. życia a 18 r. kapłaństwa. — R. i p.

Dyec. przemyska.

Prezentę na opróżnioną kanonię katedr. otrzymał X. Konstanty Bieda, Spirytualny semin. duchownego w Przemyślu i kanonik honorowy kapituły przemyskiej.

Prezentę na prob. w Krośnie (regiae coll.) otrzymał X. Stanisław Ziemba, prob. w Sądowej Wiszni, wicedziekan jaworowski.

Na fundusz prasowy złożyli: X. Kan. dr. Eustachy Jełowicki 9 koron; X. Władysław Oprzędkiewicz (ze Lwowa) 10 koron.

Własność Towarzystwa Wzajemnej Pomocy Kapłanów
Wydawca i odpowiedzialny redaktor: X. Dr. Aleksander Pechnik.
Z drukarni J. Chęcińskiego we Lwowie, ul. L. Sapiehy 17.